

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Janusz Laskowski
Franciszek Mauriąg
Artur Międzyrzecki
Stanisław Stroński
Z. Tebinka

Vol. 2. Nr. 42 (94) Nowy Jork, 22 października — New York, 21, N. Y., October 22nd, 1944

Cena 15 ct.



MARJA MODZELEWSKA JAKO MARJA W "WARSZAWIANCE"
Premjera Polskiego Teatru Artystów w sobotę 21-ego.

NIE WIELOPOLSKI

W chwili gdy piszemy te słowa pan Mikołajczyk w towarzystwie swych współpracowników, dobrze widzianych przez Moskwę konferuje na żądanie Anglii nietyle ze Stalinem ile z Komitetem Lubelskim, zasiadającym ku tem większemu poniżeniu polskiego premiera w gmachu polskiej Ambasady. Na pomoc jaką Moskwa okazała Niemcom w zburzeniu Warszawy i zniszczeniu Armji Krajowej, na kalumnję którą ów Komitetu Lubelski rzucił na Wodza Naczelnego i bohatera Warszawy, kalumnję odbierającą miano Polaków tym, co mieli czolą ją wypowiedzieć, nie odpowiedział Rząd Polski, jak mieliśmy naiwność spodziewać się, oświadczeniem, że polskie ustępstwa z przed paru tygodni są wobec okazanej przez Rosję jawnej złej woli nieaktualne i że Polska cofa swe warunki. Jesteśmy w atmosferze kapitulacji polskiej, której, jak widać, najjawniejsza chęć Rosji zniszczenia naszej niepodległości nie jest w stanie powstrzymać. Rząd polski, mający na obronę naszych i swoich praw jednomyślny głos całego kraju, siłę i czyny niezwykle naszego wojska, Polonję Amerykańską, gotową do niewątpliwie skutecznej walki, wreszcie budzący się coraz bardziej, nietylko katolicki nietylko liberalno-socjalistyczny, ale poprostu bardzo szeroki odłam opinji świata, uważa jednak, że Polska jest pokonana i musi się poddać przemocy. Jak slogan o biologicznej obronie narodu, którego bezzasadność i podstępność staraliśmy się na tem miejscu wykazać, służył usprawiedliwieniu tego niepojętego uporu poddania się i rezygnacji tak, naprawdę wielkie, zapomniane, a nagle teraz wydobyte z historii imię Aleksandra Wielopolskiego ma służyć dziś zarazem za alibi rozumu i patryjotyzmu dla amatorów tego poddania jak też za światło nadziei dla nas, że ta polityka jakoby niezwykle chytra, wyrafinowana i podstępna przyniesie nam w rezultacie ustalenie bytu państwowego na zupełnie nowych, ale bardzo pomysłnych dla narodu polskiego zasadach.

Slogan o Wielopolskim zrodził się oczywiście nie na wyjąłowanej ze wszelkiego intelektualizmu urzędniczej naszej glebie, tragiczna postać Margrabiego nie zjawiała się panu Mikołajczykowi w chwili politycznego natchnienia bez którego nie może być żadnej wielkiej polityki, bez którego kardynał Richelieu nie byłby sobą, ani Bismarck Bismarckiem, ani generał de Gaulle — de Gaulle'em. Slogan ten wyrósł z bardzo błyskotliwej ale bardzo myślowo nierzetelnej aluzji, rozwiniętej przez Ksawerego Pruszyńskiego w pomieszczonym w "Nowej Polsce" studjum o Margrabi, aluzji do wypadków ludzi i sytuacji współczesnych, jakoby zupełnie podobnych do czasów Wielopolskiego i Traugutta a w gruncie rzeczy biegunowo im przeciwnych. Kto chce grać świadomie fałszywymi kartami, ten zawsze znajdzie na to sposób i tego nic nie przekona; ponieważ jed-

nak jeteśmy pewni, że wśród zwolenników kapitulacji, w pośród nietylko urzędników i publicystów polskich, ale nawet wpośród członków naszego rządu znajdują się ludzie nie mający zielonego pojęcia kim był naprawdę Wielopolski, w jakich działał warunkach i co robił i mimo to operujący bezmyślnie owym podstępnym porównaniem Pruszyńskiego — uważamy za niezbędne przypomnieć, co można wyczytać w każdej popularnej historii Polski, a o czem różni nasi domorośli Machiavele albo nigdy nie czytali albo zapomnieli i czego im najwidoczniej świetny historyk, nasz minister Obrony Narodowej zaniedbał wytłumaczyć.

Wielopolski zjawiał się w życiu politycznym polskiem w noc najciemniejszej niewoli i upadku wszelkiej nadziei. Prawna podstawa niepodległości Królestwa Polskiego wynikła z Traktatu Wiedeńskiego została zdeptana w zwycięskiej dla Rosji wojnie. Cesarz rosyjski, dotychczas król polski, przestał się koronować w Warszawie, przestał istnieć rząd polski i wojsko polskie, wciąż gwałconą ale przecież wolność z czasów przedlistopadowych zastąpiły terror, konfiskaty, tiurma i zsyłka na Sybir; Pan Bóg był wysoko, a Francja daleko i musło się wydawać naprawdę szlachetnem szaleństwem liczyć na zagraniczną interwencję w sprawy które kolos rosyjski uważał za swoje własne.

I oto Aleksander Wielopolski genjuszem swoim (to przedewszystkiem trzeba pamiętać, bo Wielopolscy nie rodzą się na kamieniu ani na londyńskich hotelach) potężną wizją historyczną, niepolską siłą woli sprowadza do owej w mrok straszliwy pograżonej Polski światło przemiany i nadziei. Pełen poczucia, że Polska jest mimo niewoli siłą polityczną w znaczeniu międzynarodowym, że w razie konfliktów z zagranicą może stać się groźnym dla Rosji atutem w rękach jej wrogów, wykorzystując umiejętnie wciąż niespokojny stan umysłów w Królestwie i obawy powstania, grając słowem po mistrzowsku na całej klawiaturze warunków i względów, z wielką siłą perswazji wykładanych przez niego w Petersburgu, Aleksander Wielkopolski sprowadza pomimo a raczej na skutek podziemnego wzburzenia w Polsce odmianę polityki rosyjskiej względem Polski, ustępstwa, reformy, realne posunięcia, dające się łudzić, że to co klęska listopadowa zniszczyła; Królestwo z Rosją związane, ale przecież wolne, może bardziej wolne niż przedtem zostanie odbudowane, co stworzy podstawy do odbudowy całej kiedyś Polski.

Kiedy Wielopolski poczynął wcielać w życie swoją wizję, Polska istniała jako potężny naród, jako zapalająca umysły idea, ale nie było państwa polskiego i poza formalnemi żadnego z jego realnych znamion: kiedy odchodził pokonany przez historyczny tragizm stosunków polsko-rosyjskich pa-

trzał na zniszczone wprawdzie ale przecież wzniesione przez siebie zręby odbudowy, odchodził jako Polak, cywilny zarządca Królestwa, jako ten który choć został pokonany, dowiódł tem czego dokonał niezmiennego znaczenia Polski. Wielopolski, czego najwidoczniej nie wiedzą naiwni jak dzieci polscy spryciarze, niczego nie ustępował Rosji, ale w najgorszych dla Polski warunkach uzyskiwał od Rosji ustępstwa. Nietylko nie kłaniał się on w Petersburgu, co w ówczesnej sytuacji Polaka mogło uchodzić za smutną konieczność, nietylko nie dopuszczał aby go poniżano, ale zachowywał się ze wspaniałą godnością, biorąc samowolnie miejsce między ambasadorami obcych mocarstw i zawsze nakazując szacunek dla siebie a przez to dla narodu, który reprezentował. Lekcja, którą Wielopolski nam zostawił była to lekcja wielkiej polityki zdolnej naprawić byt narodowy, ale bynajmniej nie lekcja ugody, poniżenia, zgody na niewolę. Wielopolski poza tem że rozmawiał z Rosją, czego wtedy Polacy nie czynili, nie dawał nic Rosji, bo Polska nic jej wtedy dać nie mogła za wyjątkiem nadziei, że już więcej nie porwie się zbrojnie, że ten naród, zdawało się, złamany i zniszczony, nie wstrząśnie jeszcze raz rosyjskim kolosem, budząc w całym narodzie rosyjskim nadzieje wolności. Wielopolski grał oczywiście przeciw powstaniu, ale grał głównie i prawie wyłącznie na groźbie powstania. Był geniuszem, bo w beznadziejnie nieholitycznym polskim życiu zrozumiał możliwości takiej gry i płynące z niej korzyści, bo pojął jak wielka siła jest Polska nawet w niewoli i z tego pojęcia wyciągnął praktyczne wnioski. I dlatego jego dzieło do którego przybisała się mała browincjonalna polska uroda tłomaczał ją po swojemu jako zachetę do rezygnacji, było przecież wielkim krokiem ku odbudowie myśli politycznej, widzącej nietylko moralną konieczność, ale też realną możliwość zdobycia przez Polskę niepodległości.

Z tego cośmy powiedzieli, a co jest obiektywnym streszczeniem historycznych faktów, wynika oczywiście, że pomiędzy wielką polityką Wielopolskiego, a coraz pogłębiającą się dzisiejszą kapitulacją polską nie może być żadnych sensownych porównań, że paradoks publicystyczny Pruszyńskiego jest zwyczajną choć bardzo błyskotliwą voltą w stylu poprostu Nowaczyńskiego i że powoływanie się na Wielopolskiego przy spełnianiu aktów na myśl o których, jak to się mówi, "Margrabia w grobie by się przewrócił", jest zerowaniem na naiwności i ignorancji naszej emigracji.

Polska jest dzisiaj państwem, które, choć zajęte i zniszczone, ma Prezydenta, rząd i wojsko, którego niepodległość i granice zagwarantowane są przez akty międzynarodowe, jest państwem o sytuacji moralnej wyjątkowej, dysponującym armją sławną na całym świecie i nawet przez wrogów uznaną za wyjątkową. Przedstawia dziś Polskę sprawę w

imię której walczy świat cały i zasady wypisane na sztandarach zwycięskich w tej wojnie, ma Polska prawa moralne i faktyczne, atuty realne w ręku, których żadna siła poza bezprawiem, jak wiadomo ani w Anglii ani w Stanach Zjednoczonych nie uznaniem dotąd za prawo nie zdolna jest jej wydrzeć i zaprzeczyć.

Sytuacja Polski pomimo straszliwego jej zniszczenia i niewymownych cierpień Polaków jest dzisiaj moralnie i prawnie bez żadnych porównań lepsza niż była za czasów Wielopolskiego. Kto zna i rozumie naprawdę historję i ideję Wielopolskiego ten też nie może mieć dziś wątpliwości, że na miejscu pana Mikołajczyka Wielopolski odrzuciłby dziś stanowczo myśl wyjazdu w znanych warunkach do Moskwy i że gdyby Margrabia był Prezydentem Raczkiwiczem, to na żądanie pana Edena, żeby dał dymisję generałowi Sosnkowskiemu, odpowiedziałby w swoim dumnym stylu propozycją aby p. Churchill usunął Sir Allana Broocka.

Jeżeli pomimo to wszystko są ministrowie polscy naprawdę tak naiwni, że myślą, iż kapitulując w tych ciężkich, ale wcale nie beznadziejnych warunkach idą na jakieś wielkie polityczne dzieło, na miarę Wielopolskiego należy sprostować ich błędne pojęcia i rozwiać ich złudzenia.

Warunkiem każdej wielkiej gry politycznej, stanowiącym abc dyplomacji jest umiejętna sprzedaż wszystkich atutów i wielki styl moralny liczący się z możliwościami, ale oparty o poczucie siły bronionej sprawy i przez to nakazujący przeciwnikom szacunek.

Rząd polski niestety gra z Rosją tak, jak gdyby Polacy żadnych atutów nie mieli, jak gdyby Polska była państwem pokonanym i winnym w tej wojnie. I dlatego nawet gdyby Sowiety były lepiej do Polski usposobione, gdyby przekonane o jej znaczeniu i możliwościach uważały za rzecz dla siebie ważną ułożyć się z rządem londyńskim, to widząc, że Polacy zrobią w końcu co im obcy każą, że znoszą z niepojętą cierpliwością obelgi i idą w końcu zawsze na ustępstwa — przestałyby się z nami liczyć i w czemkolwiek krępować.

To też rezultat polskiej taktyki dla nikogo poza dziećmi i rekrutami politycznymi nie może ulegać wątpliwości. Skapitulowawszy przed Rosją pomimo możności walki rząd Polski jeśli wjedzie do Polski nie będzie mógł oczywiście dokonać w tych warunkach żadnego dzieła w stylu Wielopolskiego, które to dzieło jak dowiedliśmy nie ma żadnych analogji z czasem dzisiejszym, z dzisiejszą sytuacją i dzisiejszemi ludźmi. Po kapitulacji, do której zmierza, rządowi naszemu zostaną w Polsce dwie tylko drogi. Jedna na Sybir, a druga ta, którą szedł bynajmniej nie Wielopolski ale, najłagodniej mówiąc, Hacha.

JANUSZ LASKOWSKI

KRES TRZYLETNIICH TRUDÓW

(Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego")

Na pokładzie O. R. P. "Krakowiak",
we wrześniu 1944 r.

Przed kilku dniami Le Havre padał się.

Dla nikogo nie było to niespodzianką. Inaczej zresztą nie mogło być. A jednak dla mnie, — przepraszam — dla całej załogi "Krakowiaka", a więc i dla mnie zdarzenie to ma specjalne znaczenie. Krótko mówiąc: — przestaniemy chodzić pod Le Havre. Marynarze mówią, że stracili posadę przy Hawrze. Zdaje się, że mają rację.

Kiedyśmy po raz ostatni przechodzili w pobliżu Le Havre, — za dnia lotniczo alianckie bombardowało ten port. Sekki samolotów przeciągnęły nad okrętem, na który wysyłały pozornie sygnały w postaci eksplozji — grucznicy, olejęnicy i tak częścycy, że zlewały się ze sobą, pozostawiając niemal ciągły odgłos.

A potem Le Havre stanął w ogniu i żółta plama płomienia wycinał się z widnokręgu, zawieszego w oddali nad tak spokojnym morzem, jakiego nie widzieliśmy od kilku dni po pierwszych sztormach wrześniowych. Patrzyłem na ten wycinek horyzontu, płonący, jak świeca i wiedziałem, że tu nie będziemy mieli "posady". Zastąpią nas lotnicy, od kilku dni wiążący nad Hawrem.

Ale z cawila poddania się Le Havre nie tylko "Krakowiak" staje się zbędny na tych wodach. Bo chwila ta — to zakończenie długiego, kilkoletniego etapu wojny. Myślę, że niewielu obserwatorów zwróci na ten moment uwagę, bo są dzisiaj inne, bardziej atrakcyjne przejawy wojenne. I — oczywiście — bardziej efektowne, niż poddanie się niemieckiej załogi okupowanego portu francuskiego, odciętego przez ostatnie dni od swoich niemieckich baz.

Upadek Le Havre jest końcowym punktem walki o Kanał La Manche, na który Niemcy nie będą już wysyłać swoich "żywych torped" ani nie będą zastawiali "pułapek", zamaskowanych pod najrozmaitszymi postaciami.

Dla mnie upadek tego portu jest jeszcze jednym zawodem nadziei, która trzyma na okręcie: nadziei obserwowania bitwy morskiej. Myślałem, że chociaż małe jednostki niemieckie będą się starały wydostać z Hawru i przebić się przez nasze patrole. Ale stało się zupełnie inaczej.

Od początku września zepsuła się pogoda. Na Kanale były sztormy. I to zmusiło niewielkie i nieliczne jed-

nostki morskie Niemców do pozostania w porcie, gdzie wykończone zostały przez alianckich lotników.

Dziwna jest ta wojna na morzu. Zatoczyła obrzymi krąg, ogarniając cały świat. Elektryzowała wszystkie umysły działaniami na Atlantyku, na Morzu Śródziemnym toczyła się straszliwie długo. Aż wreszcie skończyła się... skończyła się na pewien czas.

Ale przez cały okres wojenny trwała na wodach Kanału La Manche i chociaż nikt nie mówił nigdy o żadnej "Bitwie o kanał", bitwa trwała nieustannie od roku conajmniej 1940. Skończyła się kilka dni temu — z enwilą upadku Le Havre.

Zakończenie tej bitwy jest całkiem czem innym dla mnie, a całkiem czem innym dla załogi "Krakowiaka", okrętu, który był budowany dla osłony konwojów przybrzeżnych. "Krakowiak" związany jest z Kanałem nierozzerwalnie i przeżył tutaj najcięższe okresy, kiedy niemal natychmiast po opuszczeniu portu, musiał stawiać czoła niemieckiemu lotnictwu. łodziom podwodnym, a nawet bardzo często bronić się sam musiał przed szybkimi ścigaczami, opadającymi go, jak zgraja psów ze wszystkich stron.

Są tu marynarze, którzy pamiętają, jakby to wczoraj było, osłonę konwoju, atakowanego przez Niemców nieustannie; z powietrza i przez ścigacze.

Był w dziejach "Krakowiaka" taki wypadek, że nikt nie miał czasu na obserwowanie samolotu spadającego od ognia polskiego okrętu w morze. W pewnej chwili samolot zaczął spadać. Czarna smuga dymu, którą ciągnął za sobą świadczyła, że jest poważnie uszkodzony. I kiedy już, już miał rozbić się o wodę, wieńcząc zwycięstwem pracę załogi "Krakowiaka", nadleciał inny Niemiec. I walkę trzeba było podjąć na nowo, zostawiając prawdopodobnie zestrzelony samolot jego własnemu losowi. Przypuszczalnie spadł, ale czy spadł napewno? — Nie wiadomo.

Były, o! jakże często — były takie wypadki, kiedy "Krakowiak" wstrząsany akcją własnej artylerji, rozdygotany stukiem swojej broni maszynowej i rozhuśtany wysoką falą wychodził przeciw nieprzyjacielskim ścigaczom, aby związać je długimi, przerywanymi niemi ognia maszynowego i szybkimi wyblyskami strażów artyleryjskich z polskim okrętem, skupiającym na nim całe

TYGODNIK POLSKI

Is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 60 cents

Half yearly \$3.50 Yearly \$7.00

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

niebezpieczeństwo, aby nie zagrażało bezbronnym statkom handlowym.

Porozmawiaj z marynarzami na "Krakowiaku"!

Z tych rozmów wielu rzeczy się dowiesz i zrozumiesz, że był podczas obecnej wojny taki jej dział, któremu zawdzięczamy bardzo dużo: osłona konwojów. Zrozumiesz również, że powodem dumy marynarzy O. R. P. "Krakowiak" jest w znacznie większym stopniu takt, że kiedy ich okręt dowodził osłoną konwoju, żaden statek nie został zatopiony, — niż to, że zestrzelony został samolot, lub zatopiona łódź podwodna, czatująca pod osłoną mroku i wody na łup.

Przesuwamy się ku wschodowi i będziemy przesuwali się coraz bardziej. Aż wreszcie zetkniemy się z flotą niemiecką na Morzu Północnym. Dla mnie taki rozwój wypadków jest oczywisty z chwilą kiedy Le Havre upadł.

Ale dla załogi O. R. P. "Krakowiak" upadek Le Havre jest czemś znacznie większym bo zamyka okres jej najcięższej pracy na Kanale, — okres bardzo długi i niezwykle niebezpieczny. Załoga ta jest nierozzerwalnie z Kanałem związana wszystkimi przeżyciami i wspomnieniami bojowymi, które już dzisiaj zaczynają zatrać ostrość mozołu, niewygód i hazardu, zastępując je różową mgiełką wspomnienia, jak filtrem, poprzez który wyraźniej rysują się wspaniałe wschody i zachody słońca i bajeczne fajerwerki śmiercionośnego ognia, wytyskujące na aksamitnym tle nocnej czerni.

— Cóż teraz? — mówią marynarze — Straciliśmy "posadę".

I zarządzone od rana zajęcia codzienne, powtarzające się w życiu każdego okrętu aż do znudzenia, zaczynają bardziej ciążyć.

I nawet w rozmowach o urlopie, w tych ukochanych rozmowach marynarzy przebija się odcień znudzenia.

— Co mi tam urlop? Nudno jest, codzień robimy to samo. Niemcy nie wyjdą na morze. Dla nas wojna już się skończyła.

— A ja myślę, że jeszcze nie.

— Naprawdę?

— No, a Morze Północne?

Odpowiada mi pociągła zaduma, namysłowi nad prawdą moich słów równa. Odpowiedź słowna pada później:

— To jeszcze warto pojechać na urlop?

— Jak długo pan nie był na urlopie?

Marynarz patrzy na mnie, jakby nie rozumiał, o co go pytam.

— Jak długo pan nie był na urlopie? — powtarzam.

— Jakto?

— No tak, zwyczajnie; jak długo pan nie był na urlopie?

— Ja nie byłem na urlopie.

— Wogóle?

— Wogóle!

Mój rozmówca pochodzi z Francji. Na okręcie jest elektrykarzem.

— Teraz doktor kazał mi jechać do domu odpoczynkowego. Pewno pojedę.

— A jak długo pan pływa?

— Od początku.

— Oo początku "Krakowiaka", czy od początku wojny?

— Od początku "Krakowiaka", czy Trzy lata.

I po chwili dodaje:

— Przedtem pływałem na "Błyskawicy".

Czy możesz się dziwić, mój amerykański Czytelniku, że dla marynarzy z "Krakowiaka" zakończenie bitwy o Kanał jest czymś znacznie więcej, niż dla nas wszystkich; jest spełnieniem zadania, postawonego przed trzema laty okrętowi polskiemu, spuszczanemu na wodę w jednej z angielskich stoczni.

A do zadań, które zabierają pełne trzy lata z pięciu lat wojny, każdy przywiązać się musi. I nie łatwo mu widzieć przed sobą następne chociaż wydają się nawet wyraźne: poprowadzą okręty sojusznicze na Morze Północne.



Marszałek Montgomery dokonywuje przeglądu Polskiej Dywizji Zmotoryzowanej "gdzieś w północnej Francji. Jak wiadomo Dywizja to dowodzona przez generała Maczka wykonała cały szereg niezwykle ważnych i niebezpiecznych zadań, ponosząc bardzo ciężkie straty ale też przyczyniając się wydatnie do powodzenia inwazji i jeszcze raz wiążąc istotnymi węzłami tak sobie niezbędne Polskę i Francję.

ZYGUMNT TEBINKA

POTWIERDZENIE TEORJI PROF. MOKRZYCKIEGO O POWSTANIU ŚWIATA

W numerze 49 Tygodnika Polskiego z grudnia 1943, wydrukowano mój popularny artykuł, wyjaśniający na czym polega nowa, rewelacyjna praca prof. Mokrzyckiego o powstaniu wiata.

Praca ta p. t. Aerodynamic Cosmogony (Kosmogonja Aerodynamiczna) ukazała się w numerze październikowym 1943 r. Biuletynu Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Yorku. Autor uderzony analogją jaka zachodzi między wirami znanymi w laboratorjach aerodynamicznych, a fotografjami mgławic t. zw. pozagalaktycznych, doszedł do przekonania, że te same prawa, które rządzą aerodynamiką, (j. nauką mającą zastosowanie w budowie samolotów) są ważne również w skali kosmicznej, a to w okresie wczesnym tworzenia się naszego układu Drogi Mlecznej, kiedy z olbrzymich mas gazowych, zaczęły się kształtować globy.

1. Galaktyka, nasz układ drogi mlecznej do którego należy słońce. Jest ona również mgławicą spiralną gwiazd, planet i satelitów.

Autor skromnie twierdzi, że właściwie niczego nie odkrył, a jedynie na pytanie: jak powstał wszechświat, odczytał poprostu odpowiedź wyraźnie wypisaną na niebie.

Fotografje większości mgławic dalekich, przedstawiających się naogół w formie gwałtownego wiru (Rys 1) są właśnie tą odpowiedzią. Profesor Mokrzycki uważa, że wszystkie ciała niebieskie powstały z podobnych wzorów. Mianowicie wewnątrz wiru głównego mgławicy, musiały powstać w myl praw aerodynamiki, wiry mniejsze, wtórne wewnątrz mniejszych, wtórnych, jeszcze mniejsze 3go stopnia it.

Jeżeli będziemy uważać układ słoneczny z centralnem jądrem — słońcem za wir 3-go rzędu, wiry z których powstały planety są 4go rzędu, zaś satelity (jak np. księżyc nasz) 5go rzędu.

Opierając swą pracę na analogjach, z prawami znanymi w aerodynamicie, autor przeprowadził szereg obliczeń dla naszego systemu słonecznego, które wykazały doskonałą zgodność z cyframi zdobytymi przez astronomów na drodze bezpośredniej obserwacji. Odbitki tej pracy zostały rozdane do wszystkich większych obserwatoriów astronomicznych i do szeregu najpoważniejszych astronomów. Odpowiedzi jakie zaczęły nadchodzić bardzo często podawały źródła i pra-

ce podające nowe, interesujące dla autora, szczegóły. Studjując te nowe źródła, dotyczące najnowszych odkryć, autor zdołał zebrać szereg faktów i obserwacji astronomicznych, będących bezpośredniem doświadczalnem potwierdzeniem teorii wirowej, do której prof. Mokrzycki doszedł poprzednio na drodze czysto rozumowej. Fakty te zebrał i ogłosił w nowej pracy "On Celestial Vortices" (o Wirach Kosmicznych) umieszczonej w Nr. kwietniowym 1944 r. Biuletynu Pol. Instytutu Naukowego.

W pierwszej pracy autor, mając dane dotyczące dzisiejszego układu słonecznego — będącego pozostałością w postaci słońca i satelitów — dawnej olbrzymiej mgławicy słonecznej, starał się liczbami i obliczeniami wykazać, jak wyglądała nasza mgławica słoneczna przed miliardami lat i jakie prawa rządziły powstaniem planet. Na tej drodze wyprowadził wzory matematyczne wyjaśniające w sposób niesłychanie oryginalny i zupełnie nowy szereg kwestji dotąd niewyjaśnionych, a mianowicie

3. Wyjaśnił dlaczego orbity wszystkich planet leżą mniejwięcej w jednej płaszczyźnie, i podał jednolity wzór na kąty, jakie orbity tworzą z płaszczyzną (równikiem) naszej Drogi Mlecznej.

4. Wyjaśnił dlaczego planety dalsze jak np. Jowisz mają szybszy obrót dookoła własnej osi i ustalił jednolity wzór na czasy z obrotu planet słońca i księżyca dookoła ich osi, doskonale zgodny z doświadczeniem.

5. Wyprowadził z teorii wirowej wzór Newtona na grawitację.

Pozatem wyjaśnił wiele kwestji kosmogonicznych, dotychczas zupełnie niewyjaśnionych.

W części drugiej swej pracy prof. Mokrzycki podając dowód doświadczalny dla swej teorii idzie odwrotną drogą. — Cytuje obserwacje astronomiczne odnoszące się do mgławic, które dziś znajdują się w stanie w jakim mgławica Drogi Mlecznej i mgławica słoneczna znajdowały się przed miliardami lat i wskazuje na pewne ich cechy ważne z punktu widzenia teorii wirowej i będącej po-



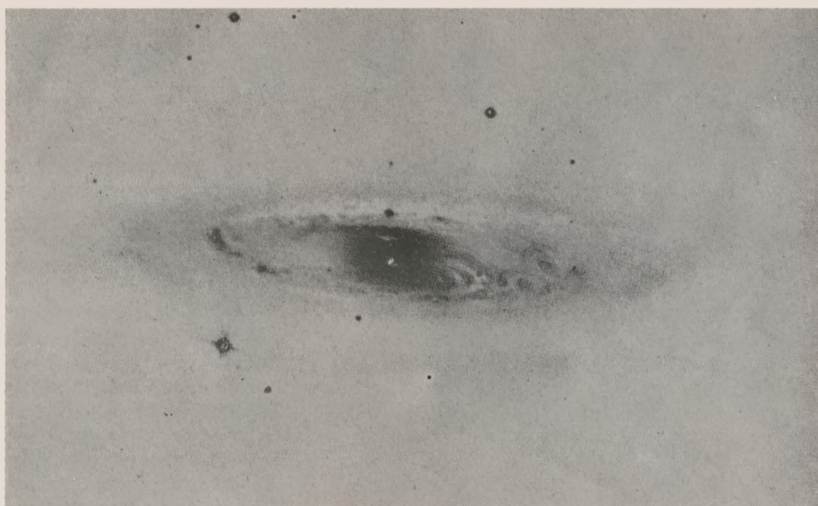
Typowa mgławica pozagalaktyczna (o wirze spiralnym dwuramiennym)

1. Przyczynę odstępów między planetami naszego układu które są w stosunku jak 1:2:4:8:16:32.

2. Podał wzór zgodny z obserwacjami astronomicznymi, na nachylenie osi planet do zasadniczej płaszczyzny naszego układu słonecznego.

twierdzeniem przez obserwację tych praw do których przedtem doszedł na drodze czysto rozumowej.

1. Fundamentalnym niezbitym dowodem prawdziwości teorii wirowej — jest zamieszczona w ostatniej pracy fotografja (Rys. 2) pewnej mgławicy



Mgławica NGC-3623; po lewej stronie widać wyraźnie wiry wtórne. W najbliższym środku wirze wtórnym tworzy się wir trzeciego stopnia

cy spiralnej wewnątrz której niesłychanie wyraźnie widać utworzone wiry drugiego i trzeciego stopnia. (Istnieje wiele innych fotografii gdzie to można również stwierdzić) w ten sposób model myślowy prof. Mokrzyckiego, dotyczący sposobu dalszego rozpadania się mgławic spiralnych, na zbiory gwiazd, gwiazdy, planety, i t. d. został niezłomie potwierdzony przez dowiedzenie.

2. W środku każdego wiru, tworzy się, jak każdemu z doświadczenia życia codziennego wiadomo, silne ssanie. Taki wir cylindrowy jaki przedstawia każda mgławica spiralna, ssie materię z okolic bieguna i gromadzi

ją w płaszczyźnie równika. Centrum wiru mgławicowego wiruje i udziela swój ruch wirowy zasysanej materji, w stopniu tym silniejszym, im bliżej się ona znajduje równika; w miarę jak się od płaszczyzny wirowej równika oddalamy udzielony ruch wirowy staje się słabszy. Wspaniałe dowód doświadczalny, tego modelu myślowego, widzimy pozostałości na jądra mgławicy słonecznej, czyli słońcu samym. Czas obrotu słońca na równiku wynosi około 25 dni, a na biegunie zaś, gdzie cząstki gazów są najbardziej od równika odległe, około 36 dni. To samo daje się zaobserwować dla Jowisza i Saturna. Zjawisko

to było zupełnie do dziś przez astronomję niewyjaśnione.

3. Obserwacje znanego badacza Hubble'a stwierdziły że ramiona mgławic ciągną się za jądrem a nie są przez jądro wypychane, co też prof. Mokrzycki w pierwszej pracy, zgodnie z zasadami aerodynamicznymi, twierdzi.

4. W przeciwieństwie do teorii przypryłowowej, która uważa, że nasze słońce mające planety jest czemś zupełnie wyjątkowym we wszechświecie i że inne gwiazdy nie posiadają planet. Prof. Mokrzycki twierdzi że naogół każda gwiazda ma planety. Odkrycia obserwacyjne porobione w ostatnich kilku latach przez Reyla, Holmberga i Stranda stwierdziły niezłomie, dla szeregu gwiazd, że posiadają one planety, co jest miażdżącym uderzeniem w obowiązującą teorię przypryłowową a poparciem teorii wirowej.

5. Dalszym niezmiernie ciekawym eksperymentem w laboratorium nieba, jest zamiana, na oczach współczesnych, (bo zaczęło się to około r. 1925) gwiazdy Nova Pictoris, na ekspandującą mgławicę mającą obecnie kształt elipsoidy. Zmiana ta dokonała się bez przejścia obok Novej Pictoris innej gwiazdy, jak tego wymaga teoria przypryłowowa.

Prof. Mokrzycki twierdził, że Nova Pictoris rodzi obecnie planety, podług praw podanych przez niego. Jeżeli ten samoczynny poród planet, odbędzie się na oczach całego świata, w najbliższych latach, będzie to wspaniałym triumfem myśli polskiego uczonego.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

MANIFEST ANACHRONICZNY

*My, którzy pieśń z bolesnych żył
Sączymy w nocy obojętność
Poto, by krzepł, by trwał, by żył
Nieodgadniony posąg piękna.*

*My, którzy w zmierzchy długich dni,
Wznosimy świtu twarde szaniec,
Nie przestaniemy nigdy śnić
Dnia, który nigdy się nie stanie.*

*Nie liczy się w rachunku mrok,
Nie ma w bilansie tkania ciszy.
Jest wystrzał, salwa, szturm i krok
Na reporterskiej, taniej kliszy.*

*Cóż nam zostało? Dalej iść
Ku szumom brzoź i wierzby płaczom
Przez pęki róż, przez zwiędły liść,
Drogą żołnierską i tułaczą.*

*U gwiezdnych mgławic, dziwny kres,
Urwane słowo, ognik błędny.*

*Życie nam odda kilka łez,
Zapach jaśminów i lawendy.*

SZTUKA IRENY WILEY

Irena Wiley, żona nowomianowanego Ambasadora Stanów Zjednoczonych w Columbji jest z pochodzenia Polką, uczennicą Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, w której zabyła w swoim czasie na licznych konkursach jako zarazem niezwykle obiecująca i oryginalna rzeźbiarka jak też jako graficzka, która potrafiła, korzystając z niezwyklej sztuki Skoczylasa, zdobyć się odrazu na styl własny. Ta niezwykle artystyczna buj-

waniu z życiem artystycznym Paryża — zetknęła się ze wszystkimi modami sztuki — wchłonawszy je wszystkie, nie zatrzymała się przecież na żadnym stylu, nie przejęła nic, co było nakazem chwili i jest wciąż żywym, poszukującym artystą, przekraczającym tę swoją bujnością sztuczne przegrody rodzajów artystycznych i dążącym wytrwale do tego, co jest celem każdej sztuki — do wyrazu swej osobowości. Od paru lat

ley, ale rozproszony po kościołach Europy i Ameryki, po apartamentach amerykańskiego "towarzystwa", pozwala nam już mówić śmiało zarówno o indywidualności duchowej artystki jak też o jej własnym stylu plastycznym; kto raz widział portret ołówkowy Ireny Wiley lub jej portret rzeźbiony w aureoli złota i kwiatów — ten przy zetknięciu się z następnym dziełem artystki — rozpozna ją nie po manierze bynajmniej, ale po ogarniającej nas odrazu jej aurze duchowej, która wszystko co Irena Wiley tworzy przenika bardzo własną, bardzo mocną, a zawsze idealnie plastycznie wyrażającą się poezję.

Sztuka Ireny Wiley jest w najlepszym tego słowa znaczeniu idealistyczna — jest ona w rysunku — dzieckiem wielkiej sztuki włoskiej; w rzeźbie zaś zarówno jej jak polskiego prymitywu ludowego. Jeżeli jest słusznym uważać za warunek każdej sztuki — jej zdolności deformujące — to w przeciwieństwie do deformacji surrealistycznej i absurdalnej tak bardzo dziś modnych, Irena Wiley idzie drogą deformacji idealistycznej, wyrażającej te same uczucia i tęsknoty, odpowiadającej tej samej wizji świata, jaką mieli prymitywi włoscy i nasi świątkarze. Linja rysunkowa Ireny Wiley bardzo klasyczna każąca myśleć o



Portret Wandy Landowskiej

ność, która kazała wtedy pannie Irenie Baruch szukać w paru naraz dziedzinach wyrazu dla swych odczuć i poszukiwań formalnych — pozostała naczelną cechą temperamentu plastycznego Ireny Wiley, dziś szeroko i świetnie znanej w Ameryce, a niedość znanej przez Polaków rysowniczką i rzeźbiarką. Irena Wiley poznała w czasie swych studjów wszystkie nowoczesne zdobycze, w obco-

wznowionej świetnie pracy artystycznej — ten wysiłek Ireny Wiley wypowiada się w dwóch równorzędnie formach — w nieporównanej delikatności portretach ołówkowych i w płaskorzeźbie polichromowanej, przypominającej prymitywów włoskich i będącej swego rodzaju wyłączną dziś w świecie specjalnością artystki. Plon tej pracy niezwykle bogaty, zgromadzony nietylko w pracowni Ireny Wi-



Portret Jaques Maritain'a



Portret Miry Zimińskiej

Ingresie raczej niż o Wyspiańskim — idzie przecież za nakazem tak głębokiego liryzmu, że wszystko co artystka w dziedzinie portretu stworzyła, a co tak znakomicie oddaje rozbieżne indywidualności modeli, wyraża przecież zarazem jej własny świat duchowy, świat nietylko plastycznego ale i duchowego piękna. Ten świat jeszcze mocniej i jeszcze wyraźniej wypowiada się w płaskorzeźbach Ireny Wiley w tych zwłaszcza, które są ozdobami kościołów. W pracach tych poezja plastyczna Ireny Wiley jest już głębokim i przy całej delikatności wyrazu namiętym mistycyzmem, nadającym wszystkim cudownie szarmonizowanym jej formom — cechy ja-

kichś niezmiernych zachwytu i rozmodlenia. Mało która twórczość, z jaką ostatnio przyszło się nam zetknąć — dała nam tak mocne jak prace Ireny Wiley świadectwo twórczego oddziaływania religji na sztukę, jej nietylko pocieszycielskiej dziś, ale inspirującej artystycznie roli. W sztuce Ireny Wiley wpływ ten jest tem mocniejszy, że nie ogranicza się do dzieł o tematach religijnych, ale że jest jak powiedzieliśmy klimatem duchowym, w którym jej twórczość, coraz bardziej indywidualna zawiązuje zarazem coraz trwalsze związki z widzami, dostarczając mu tak dziś potrzebnej a bardzo plastycznie wyrażonej poezji.

STANISŁAW STROŃSKI

POLITYKA I PRAWO

Polityka w Polsce nie jest zadaniem i zajęciem na mocno utrwalaionym podstawach. Nie ma ona toru, którym się niezmiennie jeździ, ani wyraźnie kopanych rowów, w które się nie zjeżdża. Także i w polityce istnieje u nas, i to barażo, t. zw. polska droga, niewyraźnie bieżąca przez step, przez las przez piachy, przez bród, przez moczczar. Sto lat upadku własnej polityki w wieku 18tym i sto lat władzy i polityki obcej u nas w wieku 19tym nauczyło nas wiele rzeczy, także w polityce i właśnie w polityce, ale nie sprzyjało zgoda ustaleniu się podstaw trwałych i oczywistych.

W krajach, przez które nie przevaliła się taka długotrwała burza dziejowa i nie poczyniła takich wyrw i spustoszeń w budowie społecznej i w zasobie pojęć podstawowych o życiu zbiorowem, jest znacznie więcej pewników politycznych i zasad niespornych niż u nas, gdzie ta przysłowiowa polska droga wiję się swoiście i to gubi się to wyrasta osobliwie pod stopami i pod kołami.

Polityka jest, jak wszystko w życiu co warte życia, twórczością. Ale nie w próżni i nie w powietrzu lub w obłokach. Polityka jest działaniem wśród społeczności i w ładzie społecznym oraz, przede wszystkim, na podstawach prawnych.

Te właśnie podstawy bywają u nas wiotkie, chwiejne, migotliwe.

Wolno w Polsce jak kto chce. W staropolskim tem powiedzeniu jest sporo przesady. Ale tylko przesady. Bo jest też i dużo prawdy.

Wyraża się w tem, trochę buńczucznie, a trochę żałośnie, znamienne dla naszego życia zbiorowego zjawisko zwichnięcia równowagi między dwoma szlachetnymi poczuciami które u nas tkwiły: poczuciem swobody jednostki, którego los nam nie poskąpił, oraz poczuciem prawa dla wszystkich, które wszczepił nam odwieczny u nas zmysł gromady a wykształciła przynależność do cywilizacji chrześcijańskiej zachodniej.

Chromało u nas prawo zwłaszcza od połowy wieku 17go, gdy jednym głosem zrywało się sejmy, a koniecznością stawał się stan wyjątkowy t. zw. konfederacji, zawiązywanych czasem w dobrej a czasem w złej sprawie, lecz rozstrzygających większością głosów. Nie ku chwale prawa wadało u nas w 19tym wieku panowanie obce, gdy prawo było bezprawiem, a walka przeciw niemu świętym obowiązkiem. A w naszym wieku 20tym okres po pierwszej wielkiej wojnie nazwany będzie może kiedyś dołą wielkiej obłudy w dziedzinie prawa, które w wielu krajach dostało się w łapy dyktatur, a w stosunkach międzynarodowych bywało zwykle wystawione, jak to mówią, pod wiatr, czyli na pośmiewisko.

Jesteśmy przeto w poszanowaniu prawa, już dziedzicznie obciążeni a jeszcze gorzej przez innych leczeni.

A jednak, jak stale, tak przede wszystkim w okresach trudnych, zwrotnych, przłomowych, polityka państwa musi być wpatrzona w prawo. Gdy zejdzie ona z toru prawa, stacza się po równi pochyłej, lub odrazu, nieubłagane w przepaść. Państwo jest ustrojem prawnym a poza nim może łatwo stać się igraszką sił wrogich.

Droga prawa nie jest słana kobiercem, ale jest twarda, a w swej twardości pewna. Już starzy Rzymianie wiedzieli i Cicerone przytoczył, że ślepe stosowanie prawa może minąć się z celem: *summum ius, summa iniuria*, czyli szczyt prawa bywa szczytem krzywdy. Mimo to wiedzieli, że droga prawa jest najlepsza, mówiąc: *dura lex sed lex*, czyli twarde prawo, ale prawo. Tkwi w tem głęboka mądrość.

Politykom bez głębszego przygotowania, bez poczucia prawa i jego wagi, a czasem i bez znajomości prawa, wydaje się, że lepsze od drogi prawa są zrzeczności, wybiegi, mijania, podłożenia. Wielki to błąd i zgubne złudzenie. Wydaje im się, że to polityka, a to tylko partactwo.

Natomiast wytrawni przeciwnicy wiedzy dobrze czego chcą: wytrąmy ich z podstaw prawnych, a leżą.

FRANCISZEK MAURIAC (członek Akademii Francuskiej)

NAJPIERWSZY Z NAS

W najsmutniejszej godzinie naszych dziejów wszystka nadzieja Francji zawarła się w jednym człowieku, przemówiła głosem tego człowieka, jego tylko jednego. Bo wielu ich było, tych Francuzów, którzy dzielili z nim wówczas samotność, którzy po swojemu zrozumieli, co znaczy "ofiarować siebie Francji?"

Żywi czy umarli, ci nieznanzi uczestnicy pierwszych godzin zostaną dla nas nazawsze ucieleśnieni w osobie dowódcy, który ich powołał i za którym poszli, rzuciwszy wszystko, wówczas gdy tylu innych nasłuchiwało skąd wiatr wieje, rozglądało się za korzyścią, zdradzało.

To ku nim, to ku niemu Francja uwolniona z dławiącego ją uścisku, rzuca swój pierwszy okrzyk, do niego to, do nich, odwiązana od pręgi, wyciąga swe biedne ręce.

Pamięta ona, że Vichy wydało znacząco na tego człowieka wyrok śmierci. Młody dowódca francuski, który

pierwszy w Europie, zbadał i określił warunki nowej wojny, przekleństwem stał przez starego, od dwudziestu lat ślepego marszałka. Prasa lokajów francuskich na usługach kata, lżyła go i drwiła z niego. My zaś, w te okrutne zimowe wieczory słuchaliśmy radja, podczas gdy nad naszymi głowami dudniły kroki niemieckiego oficera. Słuchaliśmy z zacisniętymi pięściami i nie wstrzymywaliśmy łez i biegliśmy powiedzieć tym z naszej rodziny, którzy nie usłyszeli, że oto: "Generał de Gaulle będzie mówił... Mówi!" Wszystko, co dziś spełnia się na naszych oczach było w dniach największego tryumfu nazizmu zapowiedziane przez ten głos proroczy.

Dzięki niemu i dzięki tym, którzy pierwsi dzielili z nim samotność — nie załamaliśmy się. Wtedy jeszcze, nie odważaliśmy się objąć wzrokiem tej bezmiernej kalwarii, po której mieliśmy wstępować i nie wyobrażaliśmy sobie, że ten Francuz zdoła zdo-

być inne jeszcze tytuły do naszej nieskończonej wdzięczności. Bo oto byliśmy świadkami jak z roku na rok bronili suwerennych praw Francji, upokorzonej i zwyciężonej. Jakże kochaliśmy go za tę wytrwałą, nieustępliwą godność! Jak bardzo byliśmy z nim w czasie tych debat, które, domyślaliśmy się, musiały być straszliwie wyczerpujące, i jak często odgadaliśmy i dzielili jego cierpienia!

Ach, bądźmyż nadewszystko dobrze rozumiani! Od pierwszego dnia usuńmy wszelki cień wątpliwości: gdy w 1830 i w 1850 klasy rządzące francuskie rzuciły się do kolan Ludwika-Filipa i Księcia-Prezydenta, dały upust uczuciom, które możnaby wytłumaczyć zapewne, ale które dziś przejmują nas wstrętem. Czyż trzeba to powtarzać? Nikt z nas, nikt z należą-cych do Armji Oporu nie myślał nigdy o Generale de Gaulle jako o żołnierzu, który z bronią w ręku, siłą utrzyma naród w posłuszeństwie i



Paryż w nocy

szablą zasłaniać będzie przywileje nie licznych.

Przeciwnie, dla nas pozostaje on tym, jakim był od pierwszego dnia: obrońcą, który powstał nagie na oczach zdradzonej wolności. Wtedy bowiem banda Maurrassowska z Vichy, trzęsąc się z radości, próbowała wreszcie swego systemu na ciele biczowanej Francji. I wówczas ów Francuz, który, tajemniczym wyborem losu, otrzymał w spuściźnie to samo imię co stary kraj Gallów, otarł opłute oblicze znieważonej Republiki. My zaś, którzyśmy już za młodu — trzeba to przecież wyznać — przestali w nią wierzyć, poznaliśmy ją oto wreszcie, tę Republikę naszych ojców, i uwierzyliśmy w jej zmartwychwstanie.

De Gaulle przynosi nam dziś ten depozyt, który Francja, zdradzona i wydana wrogom, jemu, de Gaullovi powierzyła, — przynosi go nie tylko nam, mieszczaństwu francuskiemu, lecz całemu narodowi, którego każda

partja, każda klasa społeczna dostarczyła zasobu zakładników i męczenników. Misją jego jest utrzymanie w odrodzonej Francji głębokiego duchowego zbratania, na wzór tego, jakie powstało we wspólnych grobach wykopanych przez oprawców, gdzie po-

mordowane leżą razem zwłoki komunisty i księdza.

Jej misji Generał de Gaulle sam sobie nie powierzył. Gdy tylko więźniowie i deportowani powrócą z ich piekiel, Francja będzie musiała zatwierdzić ten wybor, dokonany przez miliony zmarłych i żywych, którzy dali wszystko, aby ten dzień jedyny spośród wszystkich, wreszcie zaświtał.

Czwarta Republika jest córką męczenników. Zrodzona jest we krwi, właśnie we krwi męczeńskiej. Ta krew komunistów, nacjonalistów, chrześcijan, żydów, ochrzciła nas wszystkich tym samym chrztem, którego żywym symbolem wśród nas pozostanie Generał De Gaulle. Ileż odziedziczonych lub nabytych skłonności musiał on zwalczyć, aby stać się człowiekiem, który wyraził całą i niepodzielną duszę nieszczęsnej Francji, samej przeciw sobie podzielonej. Ile utartych dróg myślenia musiał pokonać! Každy z nas teraz niech odniesie nad sobą takie zwycięstwo!

Nie mamy złudzeń w stosunku do ludzi: wiemy dobrze, że większość zabiega o własny interes. Dążymy wszelako do tego, aby IV Republika przeszła do historii taka, jaką ją wymarzyli ci, którzy nie szukali własnych korzyści, gdyż oddali za nią życie, — aby wyrzeźbić ją z miłością na podobieństwo idealnego wizerunku, na który padło ostatnie spojrzenie Gabriela Peri, księdza Tiat, Decour, Politzera, R. P. Guilhare, Pironneau, Estienne d'Orves, księdza Gilbert.

Dzisiejszego wieczora wspominam wiersz starego Hugo, którym często koilem ból przez te cztery lata:

“O słodka Francjo! znów powstała
Po orgji znowu — szata biała”

Oby Bóg pozwolił, żeby ta biała szata podobna była do Chrystusowej tuniki bez szwu, — żeby pozostała nierozzerwalna i żeby żadna na świecie moc nie rzuciła już nigdy przeciw sobie tych Francuzów, których w Armji Oporu zjednoczył Generał de Gaulle.

ZNAKOMITY PISARZ AMERYKAŃSKI

LOUIS BROMFIELD

TAK MÓWI O NOWEJ KSIĄŻCE

KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

“I have read “The Forgotten Battlefield” and was deeply moved by it. I think it is an excellent picture of Polish bravery and spirit which every American should read in order to understand the great tradition of Poland.”

Żądajcie we wszystkich księgarniach i u wydawcy
“Roy Publishers” (25 West 45 St.)

NOWY TOM

KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

“THE FORGOTTEN BATTLEFIELD”

z ilustracjami Zdzisława Czermańskiego

Memorjał Kongresu Polonji Amerykańskiej do pana Cordell Hull'a

(Dokończenie)

W wyniku tego Stany Zjednoczone utraciłyby wszelką możliwość zorganizowania świata w sposób, odpowiadający naszym potrzebom.

Konsekwentne wysiki Stanów Zjednoczonych, by oprzeć stosunki międzynarodowe na prawie i równości narodów wobec prawa — są niewątpliwie wyrazem najgłębszych naszych potrzeb. Że taką jest wielka tradycja polityki amerykańskiej — wskazuje Doktryna Monroe, polityka Woodrowa Wilsona oraz zasady solidarności między amerykańską, ogłoszone przez naszego Prezydenta w Deklaracji z dnia 21 grudnia, 1936 r.

Trwając przy swoich tradycyjnych zasadach politycznych i oddając swoją potęgę w służbę Prawa — Stany Zjednoczone powinny stać się ośrodkiem powszechnej organizacji wolnych ludów świata. Przyjmując system "sfer wpływów". Ameryka porzuciłaby możliwość zorganizowania ludzkości w sposób, ku któremu zmierzano od początku swego istnienia, by zabezpieczyć mianowicie trwały pokój sobie i światu.

To też, w naszym rozumieniu, przyjęcie przez Stany Zjednoczone systemu "sfer wpływów" byłoby równoznaczne z wyrzeczeniem się celów, do których naród amerykański dążył przez długie lata, o które walczyliśmy sami przed ćwierćwieczem i o które synowie nasi walczą teraz.

12. O ile jest rzeczą jasną, że przyjęcie systemu "sfer wpływów" spowodowałoby poważne szkody dla Ameryki — o tyle jest wątpliwe, by przyjęcie tego systemu mogło przynieść jakiegokolwiek korzyści.

Po pierwsze nie wydaje się rzeczą możliwą podzielenie świata na sfery w sposób gwarantujący trwałą równowagę sił. Po drugie — cele do których Rząd Sowiecki jawnie dąży sprzeciwiają się wyraźnie utrwaleniu równowagi. Współpraca Sowietów z Hitlerem podczas jego kolejnych ataków na Polskę, Norwegję, Danję, Francję, Belgję, Holandję, Wielką Brytanię, Jugosławię i Grecję jest tego dowodem. Dalszym dowodem jest polityka Sowietów w Chinach. Ponadto Rząd Sowiecki rozpościera swoje wpływy po świecie całym, nie ograniczając się do żadnej określonej sfery.

Byłoby tedy dowodem zupełnego braku realizmu, gdybyśmy chcieli oprzeć przyszły ustrój świata na wierze w dobrą wolę Sowietów utrzymaniu trwałej równowagi sił.

Pozwalamy sobie jednocześnie zaznaczyć, że oparcie ustroju Europy na podziale jej na "sfery wpływów" — oddałoby w ręce Niemiec, nawet pokonanych, możność naruszenia tej równowagi.

13. Istnieje pogląd, że należy poświęcić Kartę Atlantycką, gdyż trwanie przy jej duchu i literze uniemożliwiłoby naszemu krajowi współpracę z Rosją Sowiecką podczas i po wojnie.

Uważamy pogląd taki za błędny. Sądzimy przeciwnie, że ułożenie stałej współpracy z ludem rosyjskim jest możliwe jedynie na zasadach Karty Atlantyckiej.

Jeśli chodzi o czas wojny — to jest rzeczą jasną, iż, dzięki rozwojowi sił wojennych Stany Zjednoczone stały się największą potęgą wojskową, morską i powietrzną. Zarazem jest Ameryka arsenałem Zjednoczonych Narodów, z których żaden nie mógłby pomyślnie prowadzić operacji wojskowych, bez naszej pomocy. W tych warunkach sądzimy, iż domaganie się od Rządu Sowieckiego, by uszanował on własny podpis, położony dnia 1go stycznia 1942 r. pod Kartą Atlantycką — nie jest żądaniem przekraczającym możliwości nasze dyplomacji, zważywszy szczególnie, że postanowienia umowy z 11 czerwca 1942 r.

dostarczają mocnych dodatkowych argumentów w tym względzie.

Jeśli chodzi o okres pokoju — to żadne z postanowień Karty Atlantyckiej nie przynosi szkody interesom narodu rosyjskiego. Rosja nie potrzebuje nabytków terytorjalnych — natomiast będzie potrzebować pokojowej współpracy z innymi narodami. Będzie potrzebować również szybkiej odbudowy gospodarczej. Tylko ustrój świata oparty na zasadzie pierwszeństwa prawa przed siłą może zdjąć z ludu rosyjskiego wielki ciężar zbrojeń, który będzie go dławiał, jeśli Europa zostanie podzielona na "sfery wpływów". Choć lud rosyjski nie jest pytany o zdanie przez Rząd Sowiecki i nie ma środków by swobodnie wypowiedzieć swą wolę — jednak trwała współpraca z Rosją może być oparta jedynie na przyjaznym rozważeniu rzeczywistych potrzeb ludu rosyjskiego, które nie zawsze zdają się być jednoznaczne z żądaniami totalistycznego ustroju sowieckiego.

Twierdzimy zatem, że leży w interesie tak samo ludu rosyjskiego, jak narodów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji, by Anglja i Ameryka dotrzymały wierności zasadom Karty Atlantyckiej. W ten tylko sposób można zapewnić Rosji należne i odpowiednie miejsce w przyszłym ustroju świata.

14. Właściwym będzie podkreślenie, że odstępstwo od Karty Atlantyckiej nie przysparzając żadnych korzyści nam samym byłoby korzystne dla naszych nieprzyjaciół.

Blokada moralna skutecznie hamuje Hitlera. Dopóki nie można zakwestjonować naszej lojalności dla Karty Atlantyckiej — dopóty większość Niemców musi odczuwać posłuszeństwo dla Hitlera jako zbrodnię, budzącą w nich poczucie winy i strach przed karą. Odstąpienie przez nas od Karty Atlantyckiej i poparcie imperjalistycznych tendencji Sowietów uwolniłoby Rzeszę od wewnętrznej i zewnętrznej blokady moralnej. — Usprawiedliwiłoby to imperjalistyczną filozofję Hitlera w oczach narodu niemieckiego, wzmogło jego wolę oporu, ułatwiło położenie na obszarach okupowanych a przez to przedłużyło wojnę i pomnożyło ofiary z życia naszych synów.

15. Przed dwoma laty, w najczarniejszych chwilach tej wojny, kiedy Ameryka była u początków zaledwie rozrostu swej olbrzymiej potęgi wojennej — trwalibyśmy niewzruszenie przy zasadach Karty Atlantyckiej. To

KTO CHCE ABY
"TYGODNIK POLSKI"
NIE MIAŁ TRUDNOŚCI
I DALEJ SIĘ ROZWIJAŁ
NIECH ZJEDNUJE MU
NOWYCH
PRENUMERATORÓW
GDYBY KAŻDY CZYTELNIK
"TYGODNIKA"
ZDOBYŁ JEDNEGO
NOWEGO.
WÓWCZAS
"TYGODNIK POLSKI"
MIAŁBY BYT
ZAPEWNIONY



Karol Rozmarek, Prezes Kongresu Polonji

też wypadki ostatnich kilku miesięcy, tak nie współmierne z naszą obecną sytuacją wojskową, napełniają nas najgłębszą troską.

Podczas konferencji moskiewskiej Stany Zjednoczone, w art. 6tym Wspólnej Deklaracji, wyraziły zgodę na zawieszenie w czasie wojny zasad Karty Atlantyckiej — przyzwalając Rosji Sowieckiej na niekontrolowaną okupację krajów sojusznicznych. Wyniki konferencji w Teheranie nie zostały ujawnione. Wolno jednak twierdzić, że zachowanie się Rządu Sowieckiego od czasu tej konferencji wyraźnie przybrało na agresywności. Dowodzi tego, między innymi, ogłoszenie przez Rząd Sowiecki aneksji Łotwy, Litwy i Estonji, skierowanie do Rządu Polskiego żądania "unconditional surrender", odrzucenie pośrednictwa Stanów Zjednoczonych między Rosją i Polską, mieszanie się Sowietów do spraw francuskich i włoskich, słowem, polityka Sowietów w Europie i Azji, nieuzgodniona z Demokracjami Zachodu i sprzeczna z zaciągniętymi formalnie zobowiązaniami.

Wyniki wszystkiego, wykazanego powyżej, szkodliwe dla naszych inte-

resów, stają się coraz wyraźniejsze w zachowaniu Niemiec oraz krajów neutralnych.

Zważywszy wszystko powyższe, a w szczególności:

- że głównym zadaniem Stanów Zjednoczonych w tej wojnie jest zapewnienie trwałego pokoju przyszłym pokoleniom;

W POPRZEDNIM 41 (93) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Strasza nauka; Tymon Terlecki: O Warszawie; Tadeusz Zajączkowski: Dzieci lwowskie; Co Polski Instytut Naukowy będzie robił w tym roku; Wacław Iwaniuk: Wiersz egzotyczny; Marta Wańkiewicz-Erdman: Ojczyzna z ducha, nie z krwi; Wojciech Świętosławski: Rozwój przemysłowy Polski; Scrutator: Chesterton a Polska; Memorjał Kongresu Polonji Amerykańskiej do pana Cordell Hull'a; Opinie i zdarzenia.

- że może to być osiągnięte jedynie przez skupienie wokół Stanów Zjednoczonych odpowiednio silnego zespołu narodów;
- że powstanie takiego zespołu możliwe jest jedynie przez oparcie go na zasadzie pierwszeństwa prawa przed siłą oraz równości narodów wobec prawa i solidarności ich w odparciu przemocy;
- że niepowodzenie przy tworzeniu takiego zespołu musiałoby spowodować wysięg zbrojenia a przez to uniemożliwić powrót do amerykańskiego sposobu życia, amerykańskiej gospodarki i swobodnego rozwoju amerykańskich instytucji demokratycznych;
- że zasady Karty Atlantyckiej stanowią właściwą podstawę do stworzenia takiej organizacji, dającej najlepsze gwarancje bezpieczeństwa Ameryki;
- że Stany Zjednoczone, dziś potężnie uzbrojone i będące arsenałem wszystkich Zjednoczonych Narodów, są zdolne domagać się od swych sprzymierzeńców, aby szanowali oni przyjęte przez nich zasady, które nie szkodzą nikomu, zapewniają nam bezpieczeństwo i obiecują pokój ludzkości —

tedy my, Amerykanie polskiego pochodzenia, oświadczamy uroczyście, że:

świadomi wartości krwi, przelewanej obecnie przez naszych synów, domagamy się, w imię bezpieczeństwa tego i przyszłych pokoleń, wytrwana przy zasadach ogłoszonych w Karcie Atlantyckiej.

Sądźmy, że wyjaśnienie obecnej sytuacji międzynarodowej jest znacznie ważniejsze, niż wszystkie inne sprawy domowe.

Kreśląc ten adres, który pozwalamy sobie z głębokim szacunkiem złożyć Panu — kierowaliśmy się nie sentymentem, lecz rozsądkiem, sumieniem i poczuciem obowiązku amerykańskich obywateli.

Rozważaliśmy więc położenie jedynie i wyłącznie z punktu widzenia bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Nie chcemy przecież ukrywać ani głębokiego przywiązania do bohaterstwa kraju naszych przodków, ani nie mniej głębokiej troski o naszych braci i siostry, którzy giną dzisiaj w walce z despotyzmem.

To też pozwalamy sobie wyrazić nasze najgłębsze i niewzruszone przekonanie, że wszelka zmiana granic Polski na Jej niekorzyść byłaby aktem haniebnej przemocy.

Z najgłębszym uszanowaniem
Za Kongres Polonji Amerykańskiej
Karol Rozmarek, przewodniczący
Stanisław A. Gutowski, sekretarz.

OPINJE I ZDARZENIA

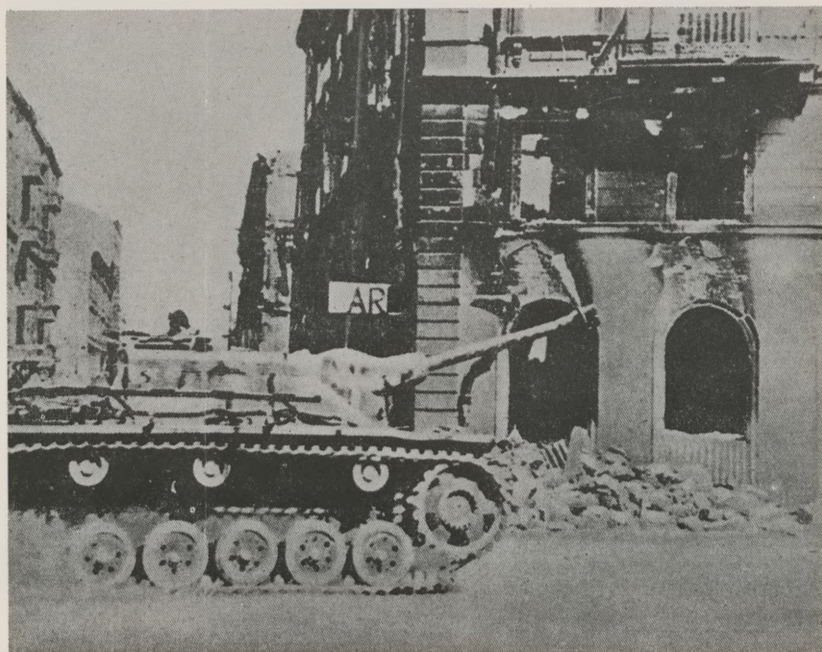
JANTA RANNY

Doskonały pisarz i poeta Aleksander Janta, którego utwory tylokrotnie spotykali nasi czytelnicy w "Tygodniku" został, jak donoszą z Londynu, raniony w czasie walk w Normandji, — i ledwo wydobyty żywcem z płonącego tanku. Brak nam narazie wieści czy te rany są bardzo ciężkie i jaki jest stan zdrowia naszego kolegi, jednego z najoddańszych i najbardziej czynnych naszych współpracowników i przyjaciół. Janta, jeden z najwyższych umysłów w nowej naszej literaturze, znający cały niemal świat, który przemierzył, jak tylko najwięksi dziennikarze amerykańscy potrafili to czynić i o którym pisał w szeregu sensacyjnych i bardzo przenikliwych książek ma w tej wojnie stan służby pisarskiej i żołnierskiej nawet jak na Polaka wyjątkowy. Walcząc w czerwcu 1940 roku w Pierwszej Dywizji Grenadierów wzięty był do niewoli niemieckiej, w której przebył dwa lata. Wydostawszy się z niej cudem przemysłności i przybwszy do Londynu od razu powrócił zarazem do pracy pisarskiej, propagandowej i do służby. W parę miesięcy zaledwie powstało kilka książek Janty, doskonałe wiersze i proza pasjonująca, stawiająca go w pierwszym szeregu młodego pisarskiego pokolenia. Wspomnienia Janty z niewoli, które nakładem "Royu" ukażą się niebawem zarówno po polsku jak po angielsku, należą do książek o znaczeniu i klasie międzynarodowej, cudzoziemcy, którzy ją czytali streszczają swoje wrażenia w porównaniu z tak po tamtej wojnie rewelacyjną książką Remarque'a "Na Zachodzie bez zmian".

Janta pełnił przez parę miesięcy od zeszłej wiosny — funkcje zastępcy Attache wojskowego przy Ambasadzie R. P. w Waszyngtonie i oddał na tem stanowisku nieocenione usługi propagandzie polskiej, od razu zdobywając sobie na tutejszym terenie wyjątkowe stanowisko jako odczytowiec najpier-

wszej klasy, świetnie władający angielskim i trafiający jak należy do wszelkich środowisk i umysłów. Za parę tygodni miał tu powrócić z nowym zasobem wrażeń, zdobytych przez udział w kampanji francuskiej; wyjście z druku jego książki, dodałoby mu w jego pracy jeszcze większe-

go autorytetu i pozwoliło najlepszym dla sprawy naszej rzeczy dokonać. Jesteśmy pewni, że ten powrót niebawem się tylko opóźni i przesyłamy drogiemu Jancie imieniem redakcji a napewno i czytelników "Tygodnika" najlepsze życzenia najszybszego wyzdrowienia.



Tank niemiecki na ulicach Warszawy



W walczącej Warszawie

KONRAD TOM artysta dramatyczny i reżyser filmowy

podaje do wiadomości krewnych
i przyjaciół w Stanach Zjedno-
czonych, że żyje, ma się dobrze
i prosi o wiadomości listowne
lub telegraficzne pod adresem

MAJOR KONRAD TOM
C M F 58 POLISH FORCES

"CHOPIN" ZAMOYSKIEGO JUŻ STANĄŁ W RIO DE JANEIRO

Pomnik Chopina, natchnione dzieło wielkiej prawdziwej sztuki Augusta Zamoyskiego, o którym pisaliśmy już w "Tygodniku" stanął na placu gen. Tiburcio na tak zwanym "Czerwonym wybrzeżu" w jednym z najpiękniejszych punktów bajkowego Rio. Uroczystości, które odbyły się w związku z odsłonięciem pomnika w dniu 1go września były potężną manifestacją całej kulturalnej Brazylii na rzecz naszego kraju; wieści nadchodzące w tym czasie z Warszawy sprawiły, że tradycyjna, bardzo głęboka i niezawodna przyjaźń Brazylijczyków dla Polski wyraziła się jeszcze goręcej; niż to zazwyczaj bywa.

Prefekt miasta przybył na uroczystość w otoczeniu generalnych sekretarzy prefektury. Stawili się reprezentanci Ministrów Stanu, Armji, Marynarki i Lotnictwa, stanu Rio de Janeiro, Dowódca Szkoły Wojskowej, delegacje Szkoły Kadetów, Szkoły Morskiej, Skautów, szkół męskich i żeńskich, itd. Ponadto reprezentowane były Akademia Nauk i Akademia Literatury, przedstawiciele Instytutu Adwokatów, Prezes i członkowie Interamerykańskiego Komitetu w Rio de Janeiro, Rektor i profesorowie uniwersytetów, politechniki, konserwatorów muzyki itd.

Po obu stronach pomnika, szpaler tworzyli wychowankowie Instytutu La Fayette, kolegium francusko-brazylijskiego, państwowego Instytutu Wychowawczego, Ochotnicy do Wojska Polskiego, delegaci Szkoły Kadetów.

Korpus dyplomatyczny reprezentowany był bardzo licznie z ambasadorami kanadyjskim i francuskim, oraz Posłem tureckim na czele. Byli obecni również attaches wojskowi i morscy. Pierwsze przemówienie wygłosił



Żołnierze Polskiej Armji Podziemnej we Francji na dziedzińcu Ambasady R. P. w Paryżu

Posel R. P., Dr. Tadeusz Skowroński. Po nim przemawiali; płk. Jonas Correa, imieniem prefekta, prof. Aloysio de Castro, członek akademji i p. Teodor Gabryś, prezes Tow. "Polonja".

Piękny dzień polski w Rio był nie tylko chwilą uniesienia i sentymentu, która wzruszyła tłumy i przemienie. Pozostaje po niej — trwałe dzieło, dzieło natchnienia i mistrzowskiego rzemiosła, jednego z największych naszych artystów — pomnik, jakiego naprawdę każda stolica może cudownej stolicy Brazylii zazdrościć i która gdy się powróci do kraju — stanie w godnej kopji napewno i na jednym z naszych placów, które może być na pewno ozdobą parku w Żelazowej Woli.

CZWARTY ZESZYT SŁOWNIKA LILIENA

Czwarty zeszyt wielkiego Słownika Liliena wyszedł w tych dniach z półtoramiesięcznym opóźnieniem, spowodowanym przez brak papieru. Nowo wydany zeszyt przedstawia się zewnętrznie bardzo dobrze: druk jasny i czysty, czytelny, papier bardzo dobry. Zeszyt obejmuje 64 stronicę, o 16 więcej niż poprzednie i doprowadza słownik do stronicy 208. Całość angielsko-polska zawiera 2080 stronicę formatu 11 przez 8 i pół, ażeby zmieścić taką ilość stronic w zapowiedzianych 40 zeszytach, co czwarty zeszyt musi zawierać 64 stronicę. Piąty zeszyt jest na wykończeniu i ma wyjść niebawem, a szósty jest w przy-

POLSKI TEATR ARTYSTÓW

ROZPOCZYNA SWÓJ SEZON 1944-45 ROKU

W NOWEJ SIEDZIBIE PRZY UL. 66 EAST 4th STREET

(między 2 i 3 Avenue, New York, N. Y.)

WYSTAWIONE BĘDĄ NIEŚMIERTELNE ARCYDZIEŁA

STANISŁAWA WYŚPIAŃSKIEGO "WARSZAWIANKA"

i

ADAMA MICKIEWICZA "DZIADY" (część III)

Udział biorą: T. Bohdańska, E. Dzięwońska, M. Modzelewska, Z. Nakoneczna, K. Orzażewska, R. Gantkowski, W. Ilcewicz, L. Krzemiński, Z. Modzelewski, S. Poleński i J. Witanowski.

Reżyser: R. Gantkowski, Dekorator: I. Lorentowicz.

W SOBOTĘ, 21-go PAŹDZIERNIKA, O GODZINIE 8.30 WIECZÓR

W NIEDZIELĘ, 22-go PAŹDZIERNIKA, O GODZINIE 2.30 PO POŁUDNIU

W PIĄTEK, 27-go PAŹDZIERNIKA, O GODZINIE 8.30 WIECZÓR

Bilety do nabycia: Ognisko Polskie, 163 East 66 St., N. Y.; Kasa Teatru codziennie od godz. 3 do 6 wiecz. Management: Michel Kachouk, 59 West 55th Street, New York, Telefon Circle 7-1686.

gotowaniu tak że do końca pojawi się sześć zeszytów jak planowano.

Ze słownik ten zyskuje sobie uznanie, świadczy o tym najlepiej fakt że lista abonentów nie kurczy się, jak niektórzy przypuszczali, lecz rośnie z każdym zeszytem. Powoli, ale rośnie; czwarty zeszyt ogłasza 14 nowych prenumerat. Niedawno trzy prenumeraty nadeszły z polskiego Ministerstwa Oświaty w Londynie; Polish Government Information Center w Nowym Jorku nadesłał również trz prenumeraty, a już chyba dużo o wartości słownika mówi nadesłana ostatnio prenumerata New York Public Library. Bo jeżeli polskie instytucje zamawiają, to można przypuszczać, że kierują nimi względy patriotyczne. Gdy zamówienie przysyła taka biblioteka publiczna w w Nowym Jorku, to już kieruje się jedynie względami świadczącymi o wartości i potrzebie dzieła.

Należy jednak dodać, że wydawnictwo dotąd nie może samo pokryć kosztów druku i papieru. Fundacja św. Piotra w Stevens Point, Wis., jeszcze pomaga do pokrycia kosztów drukarskich. Ale istnieje nadzieja, że słownik zdobędzie sobie jeszcze dwustu abonentów, a wówczas wydawnictwo stanie na własnych nogach i da Polonji i Polsce naprawdę pomnikowe dzieło.

Szczegółowy prospekt wysłała na żądanie Wydawnictwo Słownika Liliena, 928 Boadway, Buffalo 12, N. Y.

PRZESADNA UPRZEJMOSĆ

Znany pisarz francuski, a zarazem dyplomata Paul Morand odegrał w czasie okupacji Francji bardzo piękną rolę, kolaborując z Niemcami, dzięki czemu był ambasadorem Vichy najpierw w Bukareszcie, a później zaś w Bernie.

Jak dalece Morand i jego żona "zagrali" się w tej wstretnej roli dowodzi — taka oto scena, która miała miejsce podczas przyjęcia u pp. Morand w Paryżu.

W pewnej chwili tego zebrania pani Morand szybko podbiegła do drzwi aby powitać wchodzącego jegomościa w mundurze i zawołała: "A oto nasz czarujący zwycięzca". Tym gościem był "kat Paryża" generał Stulpnagel.

KUPUJCIE
Z N A C Z K I
i
B O N D Y
W O J E N N E

W HÓLDZIE ŻÓLNIERZOWI POLSKIEMU I BOHATERSKIEJ WARSZAWIE, POLSKI TEATR ARTYSTÓW POŚWIĘCA SWOJĄ PREMIERĘ

Polski Teatr Artystów nie mógł i nie cniat uczynić inaczej. Guy z wszystkich stron świata przynosił wiadomości o wielkim bonaterstwie i krwawym oriaraca Żołnierzy Polskich, gdy wiadomość o wspaniałym powstaniu naszej dumnej stolicy warszawy poruszyła wszystkie serca i uczucia polskie a wiesc o tragicznym upadku opuszczonej przez cały świat, pozbawionej broni, nieba i wody wspaniałej Armji Krajowej okryła nas najgłębszą żałobą, Polski Teatr Artystów odczuł to tak jak wszyscy i zrozumiał, że dzis w tej krwawej i potężnej walce Narodu Polskiego o wolność i niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej, musi z JEDYNEJ NA ŚWIECIE WOLNEJ SCENY POLSKIEJ paść słowo polskie, słowo wielkie w kornym hółdzie dla walczących na całym świecie Polaków.

Marja Modzelewska — spodkobierczyni rol "Marji" po Helenie Modrzejewskiej zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności artystycznej, jaką wzięła na siebie i już w próbach wykazuje swoją wielką indywidualność dając Marję prostą, Marję pełną przejmującego bólu i rozpacz.

Sekunduje jej znakomity Komuald Gantkowski jako Chłópieki. Zofja Nakoneczna i Zygmunt Modzelewski tworzą wspaniałą parę kochanków a reszta zespołu jest na wysokości zadania. Próby trwają do późnego wieczora i cały zespół jakby chciał przez tę premierę dołożyć małą, najmniejszą cegiełkę do — jeżeli nie czynnej — to przynajmniej do złożenia hółdu tym co czynnie walczą.

Premjera pod protektoratem Jana Ciechanowskiego, Ambadora R. P. i Franciszka Świetlika, Prezesa Rady Polonji odbędzie się dnia 21 października o godzinie 8.30 wieczór w teatrze 66 East 4th Street, N. Y. C.

Następne dwa identyczne przedstawienia odbędą się w niedzielę, 22 października o godzinie 2.30 i w piątek 27 października o godzinie 8.30 wieczór.

"NAJPIERWSZY Z NAS"

Artykuł, który dziś podajemy w przekładzie wyszedł z pod pióra jednego z najwietniejszych pisarzy francuskich wielkiego Mauriaca i pomieszczony został w paryskim "Figarze" w pierwszym numerze, który ukazał się po oswobodzeniu stolicy. Mauriac w czasie okupacji zachował się z wspaniałą odwagą, świecąc przykładem charakteru i patriotyzmu, "Figaro" ma też słuszne prawo do dumy, że jego naczelną współpracownicę —

Pierre Brisson i Władimir d'Ormesson ani na chwilę nie ugięli się w opozycji i wierze w zwycięstwo Aljantów. Pomimo, że artykuł Mauriaca odzwierciedla sytuację polityczną — i stworzony przez nią splot warunków zupełnie od naszych odmienne — podajemy go zarówno jako pisarskie arcydzieło, jak też poto aby był przykładem co może jeden człowiek, wbrew wszystkim i wszystkiemu jeśli wpatrzony jest w wielki cel i bez kompromisów do niego zmierza.

Helena Rubinstein PUDRY DO TWARZY



Indywidualne mieszanki dla suchej, normalnej i tłustej cery w sześciu pięknych odcieniach

RACHEL
PEACHBLOOM
MAURESQUE
CHAMPAGNE BISQUE
SUN TAN
ROAL TAN

Od \$1.00 do \$7.50

(plus podatek)

POTRZEBA KOBIET DO CZYSZCZENIA

W dużym budynku biurowym Zapłata plus over-time

\$30. i więcej tygodniowo. Zgłaszać się: Superintendent 70 Pine St., New York, N. Y.